



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie

Kwartalnie. rs. 1.
Za odoszenie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 11 Maja
(23 Maja) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Do młodej dziewczeczki (wiersz). — Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Działalność kobiet w Szwecyi. — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Biała czapla, przez Sarę Orne Jewett, przełożyła z angielskiego T. Prażmowska. — Z tygodnia. — Piśmiennictwo. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. W dodatku: Wprowadzona w wielki świat, powieść przez Hamiltona Aide, przekład K. P. (arkusz 7).

DO MŁODEJ DZIEWECZKI.

Nie zmieniaj barw swych, kwiatku świeży,
O ty pieszczochu wiosny!
W nich piękność twa jaśniej szerzej
I urok ma radosny.

* * *

Zachowaj, kwiatku, w sercu swoim
Szerokich pól tych wonie,
Niech w niem ożywym płyną zdrojem!
Niech pierś zachwytem płonie!

* * *

O! wciąż znikają wonne kwiatki,
Coraz uboższe pola!...
Niech ciebie z pól tych, jak od matki,
Nie niesie w dal swawola!

* * *

Nie zmieniaj barw swych, kwiatku świeży,
Wiosennych pól ty dziecię!
— Lecz kwiatek śliczny cóś nie wierzy,
Nie wierzy już pocie!

Antoni Pilecki.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Na pierwszym piętrze, w maleńkim, źle utrzymanym pokoiku, z oknem od podwórza, w domu starym i wilgotnym jak grobowiec, rezydował teraz poszukiwany Zawadzki. Właśnie był w domu. Stróż wprawdzie mówił, że wrócił dopiero nad ranem, o szóstej, czy siódmej, ale tem pewniej można go było zastać.

Kiedy też pan Konrad wy dostał się po ciemnych i wązkich schodach, właściwych tej starej dzielnicy, i uchylił drzwi do wskazanego pokoiku, oczom jego przedstawił się szczególny widok.

Na łóżku żelaznym, które pan Konrad znał dobrze, jako swoje własność, spał młody, zbiedzony człowiek, prawie w ubraniu, porozpinany tylko cokolwiek z ciasnego i wyszarzanego tużurka. Obok, na krześle pod oknem, spoczywał w śnie głębokim jakiś student, młodzieniaszek za ledwie, chrapiąc wskutek niewłaściwego ułożenia głowy na twardej poręczy wygniecionego fotelu.

W mieszkaniu było duszno, a panował tu nieład, uwidoczniwszy szczególnie w porzuconej na podłó-

dze, na środku pokoiku, czapce studenckiej, porozlewanej na stoliczku wodzie, strąconym z etażerki plecionej stosie ksiąg przeróżnych i frygniętym pod same drzwi jednym męzkim pantoflu. Drzwi nie były na klucz zamknięte, nikt też nie ruszył się z wejściem pana Konrada. Nie obawiano się tu złodzieja, ani nie spodziewano żadnych odwiedzin — to było aż nadto widoczne.

Pan Konrad stał przez chwilę u drzwi, rozglądając się z trudem dokoła. Wreszcie, stąpając z rozważą w ciasnym przejściu między łóżkiem, etażerką, stoliczkiem i ścianą, poskoczył ku śpiącemu przyjacielowi i począł szarpać go za ramię.

— Ty, słyszysz? To ja! Wstawaj! — wołał, zniżając głos do szeptu, o ile pozwalało mu na to wzburzenie.

Zawadzki otworzył z wolna jedno oko, jakby chciał zbadać powód nieoczekiwanego widocznie niepokoju. Patrzył w ten sposób chwilę, wreszcie poruszył się na posłaniu gwałtownie i wytrzeszczył oczy.

— Oj! sen, czy Konrad? — wybiegło z ust rozspanego chrapliwym głosem.

— Ja to! Ja! — powtórzył pan Konrad, poruszając znów ramieniem przyjaciela, który nanowo zamknął bezwładne, zmęczone oczy.

Tym razem Wiktor zerwał się na nogi i usiadł na łóżku.

— Ty? Jesteś! Nareszcie! — przemówił z trudnością, spuszczać oczy.

Pan Konrad stał przez chwilę nad nim, patrząc w pozołtkę, zmizerowane oblicze przyjaciela.

— Coś ty znowu porobił, Wiktor? — wyszeptał.

Zawadzki, pod wpływem tych paru wyrazów, dźwięczących żalem, przychodził z wolna do siebie i wreszcie, oprzytomniawszy zupełnie, machnął ręką ze złością.

— Eh! — rzekł tylko.

Konrad usiadł przy nim na krawędzi łóżka i upewniwszy się, że młody, nieznany mu, kompan przyjaciela śpi ciągle najspokojniej, wyszeptał cichutko:

— Gdzież ona? Józia?... Cóż z nią? Zdrowa?

Wiktor westchnął ciężko i milczał przez chwilę, jakby obawiał się, że odpowiedź nie przejdzie mu przez gardło.

— W szpitalu — rzekł wreszcie.

Konrad zerwał się gwałtownie i stanął znów na wprost przyjaciela. Pytania i odpowiedzi poczęły się teraz krzyżować, jak strzały. Widocznym było, że jeden i drugi pragnął się ich pozbyć jaknajprędzej.

— W którym?

— W naszym... U Dzieciątka...

— Odkąd?

— Miesiąc już będzie...

— POCO? Dlaczego?

— Mus!

Pan Konrad zachwiał się, załamał bezwiednie dłoń i zazgrzytał zębami, powstrzymując tym sposobem jakieś cisnące mu się na usta przekleństwo.

— No, co było robić? — szepnął Zawadzki po chwili, jakby się chciał usprawiedliwić. — Co?... Groszam nie miał... A... a... a gorzej jej było!

— Zapewne! — wykrztusił Konrad z ironią.

Wiktor, niewytrzęziony jeszcze zupełnie po bezsennej spędzonej nocy, nie zrozumiał znaczenia tego wykrzyknika.

— Dziś piątek — począł znów po chwili. — Puszczają... Zresztą nas zawsze puszcza... Moznaby pójść do niej. Chcesz?

— A dawno tam był? — spytał Konrad, przesywając pijanego wzrokiem.

Zawadzki milczał parę sekund.

— Z tydzień!

— Dobryś brat!

Zawadzkiego chwyciła czkawka, nie zaraz więc mógł odpowiedzieć.

— Dobry! dobry! — przemówił wreszcie. — Cóż to, nie medyk jestem? Nie znam się na tem?... Ho, ho!... Więcej ja umiem, choć mi brakuje tych egzaminów, które ty już masz i inni... Suchoty!... Wiem!... Co jej pomożę?... Ja zły brat!... Właśnie żem brat, to mogę tylko wyć, gdy ją widzę... gdy ją zobaczę... Ho, ho!...

I jakby już ją widział, zaszlochał okrutnie, opierając ociężałą głowę na żelaznej poręczy łóżka.

Konradowi także łzy zaświeciły w oczach.

— No, cicho! Przestań ty! — uspokajał, zbliżywszy się do biedaka i dotykając jego ramienia.

— Ach, Konrad! — zawołał znów nieszczęśliwy innym już zgoła głosem, jakby nagle całkiem oprzytomniał. — Konrad! Czemuś ty wyjeżdżał! Pókiś ty był, ona żyła... trzymała się... siłą woli... przy tobie!... wiesz przecie... A i ja się trzymałem — i ja!

Powstał i, załamując ręce nad głową, począł się przeciągać, jakby chciał wszystkie kości sobie powylać.

Pan Konrad przyskoczył do niego z wściekłością.

— Pocom wyjeżdżał?... Ot, patrz! Masz! Po pieniądze, dla siebie, dla ciebie... dla nas! Patrz! — i z obszernego, nowiuteńkiego pugilaresu począł

gwałtownie wrywać z przegródek i ciskać na łóżko różne banknoty.

Wiktor, pomimo wszystkiego, przyglądał się ciekawie rozrzuconym różnokolorowym papierkom.

— Fiu! — zagwizdał przeciągle. — Ładny kus!

W ciszy, która po tych słowach nastąpiła, słychać było tylko chrapanie młodzieniaszka i ponowny zgrzyt zębów Konrada.

Wiktor jednak nie słyszał ani jednego, ani drugiego.

— Toś ty tam — zauważył znów — zgarniał chyba po drogach monetę na owym Podolu przez te trzy miesiące!

I znów zagwizdał z podziwem:

— Fiu!

Poczem, jak gdyby ponownie się opamiętał, dodał z bezgraniczną niemal rozpaczą:

— Ale biedna Józka już w szpitalu! Już!

Pan Konrad powziął jakieś nagłe postanowienie.

— Chodźmy! Ubieraj się! — wrzasnął.

Zawadzki, złamany rozpaczą, wyprostował się nagle i urósł niemal w jednej chwili, a w oczach i w twarzy zaświeciły mu ognie.

— Chciałbyś? Pójdiesz? Zaraz?

I rzucił się na szyję przyjaciela, a z oczu poczęły mu biec łzy, z wolna, jedna za drugą.

Konrad, zazwyczaj cierpliwy, uwolnił się tym razem czempredziej z uścisku Wiktora.

— No, prędzej! Idziemy! — rzekł tylko.

Zarówno ten ruch, jak i surowość w głosie przyjaciela nie uszły uwagi Zawadzkiego. Rozplótł dłoń i w milczeniu począł się gorączkowo wybierać do drogi.

Ale podczas gdy zapinał krawat, a później rozczesywał potarganą czuprynę, upatrując równocześnie szcutki do oczyszczenia ubrania, począł w nim wzbierać wrodzony sarkazm. Był już zupełnie przytomny, a gniew go dławił. Konrad, przywykły do jego wylewów czułości i obchodzący się z nim w takich chwilach jak z dzieckiem, po raz pierwszy odtrącił jego uścisk.

To go właśnie gryzło.

Począł umyślnie zwlekać, wodząc zlekka szcawką po wyszarzanym tużurku. Chciał widocznie gadać.

Odezwał się też po chwili z przekąsem:

— Że też cię panny Marczewskie nie zjadły tam? No, no!

Ale Konrad stał u drzwi nieporuszony. Zawadzki zdumiał się, słysząc za całą odpowiedź szelest szcutki po suknie, którą sam po rękawach tużurka przesuwiał.

— Bo to ja je znam! — począł znowu niebawem, jakby umyślnie wyzywał przyjaciela. — Znam!... Trafiała mi się tam lekcya zeszlých wakacyj, przed tobą jeszcze, do młodszego brata Kazika... Tylko, że to ja... wiesz przecie... panicyków nie lubię... A przytem te siostry! Łanie! Dyany!... Zakochałbym się był jeszcze, ja, taki robak i co?... Więc nie chciałem!... Ale ty, z twoją śliczną gębą?

Pokręcił głową.

— Fiu! — zagwizdał znowu, wyrażając w ten sposób zaczęłą myśl, której nie miał odwagi dokończyć.

Konrada jednak nie już teraz nie mogło wyprowadzić z cierpliwości. Zdawało się, że zajęty swymi myślami, nie słucha nawet gadaniny przyjaciela.

— Prędzej, prędzej! — upomniął tylko.

Zawadzkiego zadziwiło to tak dalece, że aż przyrzekł się baczniej Konradowi.

— Ale, ba! — rzekł znów, jakby sobie coś nagle przypomniał. — Słuchaj-no! Cóż ty tak prędko? Toż przecie jeszcze czas? Miałeś siedzieć dłużej?... Może te panny...

Konrad westchnął ciężko.

— Stryj mi umarł — rzekł zcicha. — Wczoraj był pogrzeb. Dlatego wcześniej wrócił.

Wiktor chciał jeszcze żartować, ale się w porę powstrzymał.

— Patrzajże! — rzekł tylko. — Nic nie wiedziałem!

Nie mógł jednak powstrzymać się od uwagi, że Konrad z nieboszczykiem niezbyt przecie się kochali.

— To już nie twoja rzecz! — przerwał mu Konrad.

— Pewnie! *Requiescat in pace!* — brzmiała odpowiedź.

Toaleta wreszcie została skończona i Wiktor ruszył ku drzwiom, przy których stał uparcie Konrad.

— Pójdźmy! — szepnął.

— A on? ten? — zauważył pan Konrad, wskazując na śpiącego pod oknem młodzieniaszka, który znów chrapać począł.

Wiktor machnął ręką z lekceważeniem.

— Knot! Szczeniak! Niech śpi!

Wyszli, nie zamykając drzwi na klucz.

— To twój uczeń? — spytał na schodach pan Konrad, a w głosie jego brzmiał odcień ironii.

— Tak! Niby! — odparł Wiktor. — Przyplątał się do mnie, bo to on także wiersze pisuje, a do nauki wszelkiej zapalny... Ciekawy egzemplarz!

Szli przez chwilę w milczeniu.

— Naukę mu dasz — przemówił znów Konrad, mając na myśli pozostawionego w śnie chłopca, — ale boję się, że nie wyrobisz w nim charakteru...

Wiktor teraz dopiero rozumiał docinek.

— Eh! Charakter, charakter! — i zaklął.

Poczem, zatrzymując Konrada na rogu ulicy, rozpoczął rozprawę na poruszony temat. Wymienił już nawet kilka nazwisk i cytat, świadczących o niepośledniej erudycji, zapalał się przytem, jak zwykle do poważniejszej dyskusji.

Ale Konrad uśmiechnął się tylko.

— Daj pokój! — przerwał. — Ona tam czeka!

I przywoławszy dorożki, stojącej około kolumny Zygmunta, wskazał przyjacielowi miejsce.

— Siadaj!

A zwracając się do woźnicy, dodał:

— Do Dzieciątka!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIAŁALNOŚĆ KOBIET W SZWECYI.

PRZEZ

Sewerynę Duchiąską.

Kilka lat temu ukazała się w Londynie bardzo ciekawa książka pod tytułem: „The woman question in Europe” (Kwestya kobieca w Europie). Wydawca jej, Teodor Stantor, Amerykanin, zamieścił pod tytułem słowa pedagoga francuzkiego Aimé Martin: „Jeśli chcesz poznać stan moralny i polityczny danego ludu, zapytaj jakie miejsce zajmuje w nim kobieta.”

Powodowany tą myślą, pan Stanton powołał do pracy najgłośniejsze autorki rozmaitych krajów i rozprawy ich, przełożone na język angielski, zamieścił w siedemnastu rozdziałach, poświęconych kobietom różnych narodowości. Obszerny ustęp o Polsce, obejmujący trzydzieści cztery stronic, zawdzięczamy znakomitej powieściopisarsce naszej, pani Elizie Orzeszkowej.

Z tego szeregu zajmujących rozpraw dajemy dziś w treści opracowanie szwedzkiej autorki, pani Rozalii Ulryki Oliwekrona, z domu Roos.

Krótki życiorys, pomieszczony na wstępie, daje nam poznać tę zajmującą i pełną energii osobistość. Urodzona w Sztokholmie w roku 1823, panna Roos przeżyła lat kilka w Stanach Zjednoczonych Ameryki, zwiedzała tam pilnie zakłady wychowawcze dziewcząt; w jednym z nich (południowej Karolinie) pełniła przez cztery lata obowiązki nauczycielki. Za powrotem do kraju, zaślubiona z profesorem uniwersytetu upsalskiego, poświęciła się z całą gorliwością sprawie kobiet szwedzkich. W „Przeglądzie domowym” ogłaszała pedagogiczne rozprawy, wspomnienia z podróży, życiorysy i poezje. Ta niezamordowana kobieta stała się duszą wszystkich stowarzyszeń w Sztokholmie, inicjatorką mnóstwa dobroczynnych instytucyj, przez co zjednała sobie ogólne poważanie.

Tak pod względem naukowego wykształcenia, jak i rozwiniętej wszechstronnie działalności kobiet, Szwecya zajmuje pierwszorządne miejsce w społeczeństwach europejskich. Już przed laty sześćdziesięciu, w roku 1831, powstała w Sztokholmie wyższa szkoła dla pańien, za staraniem historyka Fryxell, a pod opieką arcybiskupa Wallin, ztąd poszła jej nazwa „Wallin School.” W trzydzieści lat potem, kiedy we wszystkich krajach Europy zwrócono pilną uwagę na rozwój umysłowy kobiet, Szwecya okazała niesłychaną gorliwość w tym kierunku. W roku 1859, za staraniem ludzi wpływowych, otworzono w Sztokholmie wyższą szkołę bezpłatną dla dorosłych pańien. Wykłady w formie odczytów obejmują zasady religii, nauki przyrodnicze, matematykę, historję, literaturę szwedzką, język francuzki, higienę i rysunki. Uczennice wybierają sobie przedmioty odpowiednie. Wielkie powodzenie tej szkoły dało pobudkę do założenia królewskiego instytutu nauczycielek.

Oprócz powyżej wymienionych przedmiotów, wykładają tu pedagogię, wyższą geografję, języki niemiecki i angielski. Nauka zarówno i tu pobierana bezpłatnie. Do tej instytucyj należą trzy normalne szkoły przygotowawcze.

Oprócz wielkiej liczby szkół elementarnych, w samym Sztokholmie istnieje ośm wyższych zakładów naukowych dla pańien; otrzymane w nich stopnie dają prawo do nauk uniwersyteckich w Sund i Upsalu. Niewiele przecież kobiet korzysta z tego przywileju, udzielonego im w roku 1870. Wciągu lat dwunastu pięć tylko otrzymało dyplomy.

W Upsalu, Gottenburgu i Sztokholmie, urządzono po szpitalach kursa dla kobiet, w celu przysposobienia dozorczyń i infirmerek. Panie szwedzkie przewodniczą gorliwie tym zakładom; szkoła kucharek i służących, szkółka dla zaniedbanych dzieci i inne pozostają też pod wyłącznym ich naczelnictwem.

Elementarne szkoły, rozsiane po wsiach i miasteczkach szwedzkich, liczą się na tysiące. Od roku 1870 istnieją wyższe zakłady naukowe dla wiejskiej młodzieży. W dziewięciu takich szkołach zaprowadzono osobne wykłady dla dziewcząt, w celu przysposobienia ich na wzorowe gospodynie.

W Sztokholmie szkoła przemysłowa, urządzona wyłącznie dla dziewcząt, liczy do ósmuset uczennic. Istnieje oprócz tego do dwudziestu szkół handlowych, kaligraficznych i t. p., w których dziewczęta pobierają specjalną naukę. Szwedzkie panie opiekują się gorliwie temi zakładami i w ogólności wielką rozwijają działalność w sprawie wychowania. Peryodyczne pismo „Przegląd domowy” znakomite w tym względzie położyło zasługi. Przegląd ten, założony przez baronową Adlersparre i panią Ulrykę Oliwekrona w roku 1859, wychodził zrazu bezimiennie i ograniczał się na pracach dwóch redaktorek, pomału jednak, w miarę coraz większego rozgłosu, zdobywał sobie współpracownictwo pierwszych autorów i autorek. Po ćwierćwiekowem istnieniu, wywarł on wielki wpływ na rozbudzenie kobiet w całej Skandynawii. Oprócz literackich prac, baronowa Adlersparre daje popęd do działań w rozmaitym kierunku. W roku 1869 utworzyła zakład kopistek; znalazły tu kobiety nowe pole do pracy, zajmując się przepisywaniem i tłómaczeniem z obcych języków. W roku 1874 założyła Towarzystwo przyjaciół domowego przemysłu i czytelną dla kobiet, złożoną z dzieł wyborowych.

W literaturze szwedzkiej niejedna autorka zdobyła głośną sławę. Dzieła zmarłej Fryderyki Bremer, tłómaczone na rozmaite języki, rozbiegły się po całej Europie. Baronowa Knorring i pani Carlen zasłynęły też, jako pełne talentu powieściopisarki. Na polu sztuk pięknych szwedzkie kobiety większe jeszcze zdobyły rozgłos; dość tu wspomnieć słynne śpiewaczki Jenny Lind i Krystynę Nilson. W malarstwie odznacza się między wielu innymi Zofia Adlersparre, bratowa zasłużonej baronowej. W wydziale rzeźby księżniczka Eugenia z królewskiej rodziny znakomite zajmuje miejsce. Inna rzeźbiarka, Zofia Iberg, córka krawca, za wyrobysnyerskie na drzewie otrzymała medale na międzynarodowych wystawach w Londynie, Paryżu i Wiedniu. W szwedzkich archiwach wykonanie map jeograficznych powierzono kobietom. Wiele innych zajmują się drzeworytnictwem i fotografią.

W miarę światła szerzącego się pomiędzy kobietami, prawodawstwo szwedzkie przychodziło im w pomoc; w roku 1845 przypuściło siostry do równego podziału z braćmi w odziedziczonym spadku. Wkrótce potem pozwolono kobietom prowadzić różne przedsiębiorstwa. Korzystając z nadanego sobie przywileju, zabrały się skrzętnie do pracy. Już w roku 1880, pięć tysięcy ósmset kobiet przyjęło czynny udział w różnych gałęziach handlu i przemysłu, z tych połowa pracowała na własną rękę, niektóre z nich okazały wyższą zdolność matematyczną. Jedna obmyśliła maszynę do siewu, inna ułatwiła fabrykacyą sieci. Wiele z nich zajmuje się w Sztokholmie złotnictwem, zegarmistrzostwem, wyrobem koronek, malarstwem na porcelanie i t. p., kilka zasłynęło w ogrodniczym zawodzie.

Aby ułatwić pracę kobietom i wydobyć z niej największy dla nich pożytek, panie szwedzkie zawierają różne towarzystwa. Wymienimy tu na przykład „Ul pszczelny,” otwarty w Sztokholmie 1870 roku. Do tego Ula robotnice przynoszą plony swej pracy, troskliwe opiekunki zajmują się ich zbytem. Zakład ten wielkie przyniósł korzyści. Na wzór jego powstały także „ule” po miastach prowincjonalnych. Inne Towarzystwo pań utworzyło dobroczynną instytucję dla podeszłych nauczycielek; inne znów ma na celu dostarczanie pracy ubogiem wyrobnicom.

Rodzina królewska piękny w tem daje przykład. Zmarła królowa Józefina, córka księcia Eugeniusza

Beauharnais, ufundowała wielki dom dla wiekowych kobiet, które z dostatków przeszły do ubóstwa. Instytucją tę utworzyła w pięćdziesiątą rocznicę przybycia swego do Szwecyi, poświęciła ją zaś pamięci zmarłego małżonka Oskara I-go. Panująca dziś królowa Zofia założyła szpital dla ubogich dzieci i dom dla upadłych moralnie kobiet. Córka jej, księżniczka Eugenia, wzięła pod opiekę Towarzystwo przyjaciół dzieci i założyła dom przytułku dla kobiet poszukujących służby; księżniczka ta poświęciła się wyłącznie uczynom miłosierdnym.

Kobiety szwedzkie wszystkich warstw społecznych okazują wielkie zamiłowanie do pracy. Wieśniaczki zajmują się skrzętnie przędziwem i tkactwem, wyrabiają na drutach ciepłe kaftany dla żeglarzy. Hafty ich i koronki odznaczają się oryginalnym smakiem, zarówno jak różnobarwne kilimki, któremi zdobią chaty swoje. Wyroby te zwróciły uwagę powszechną na wystawie wiedeńskiej w roku 1873. Wówczas to powstało w Sztokholmie pod opieką królowej i księżniczek Towarzystwo pań szwedzkich, pod tytułem „Przyjaciół domowego przemysłu.” Towarzystwo to urządza w Sztokholmie corocznie wystawy niewieścich wyrobów, zajmuje się ich sprzedażą i rozsyła je po rozmaitych krajach. Obudziło to wielki ruch pomiędzy wieśniaczkami i przyczyniło się niemało do ogólnego dobrobytu.



Paryż, 21 Maja 1891 r.

Po długiej i twardej zimie, która wyjątkowo w tym roku trapiła Paryż do końca, zabłysło wreszcie majowe słońce, a z niem wysypały się wiosenne i letnie mody. Dwie wystawy obrazów, na polach Elizejskich i na polu Marsowem, dały do tego pobudkę, zwyczaj bowiem tutejszy nakazuje Paryżankom uczcić tak zwany Salon sztuk pięknych wytwornym strojem, w pierwszym dniu jego otwarcia.

W tej chwili właśnie powracamy z pola Marsowego, gdzie przed oczyma naszymi przesunęły się setki najświeższych kostiumów, okrywek i kapeluszy. Jasne kolory sukien, powszechnie dziś przyjęte, a dotego niesłychana obfitość kwiatów tak na wielkich, jak na maleńkich kapelusikach, wszystko to sprawiło, że długie galerye wyglądały jakby rozkwitły ogród. Łatwo nam też przyszło zerwać wiązkę nowości letnich, którą posyłamy czytelnikom naszym.

W sukniach to szczególnie uderza, iż po większej części składają się z dwojakiego materiału. U jednych przód spódnicy i stanika szeroko otwarte, pod to idzie jakby druga suknia odmienna. U innych znów przód zachodzi na boki całkiem płasko, jakby szeroki fartuch, zpod tego wybiegają tylne bryty odmiennie, tworząc tren długi mniej więcej na pół łokcia. Uważaliśmy też kostiumy złożone z wąskiej spódnicy, ściętej na wszystkich brytach, i z innego stanika, od którego spada bryt nieco powłóczysty, nieodłączony od pleców.

Płaska spódnica wymaga koniecznie garnirunku, zdobią ją też u dołu wolantem lub dwiema niezbyt szerokimi falbankami, z tego samego jak suknia materiału, a niekiedy z czarnej koronki. U skromniejszych sukien widzimy proste zakładki, cztery lub pięć, jedna nad drugą.

Staniki z długą baskiną należą do najmniejszych. W baskinach tych wielka panuje różnorodność. Niektóre w tyle rozcięte na kilka kłapek, przez cały przód do boków, przechodzi długa frendzla z paciorków dżetowych, także frendzla spada od szyi, przedłużona z przodu i na plecach, węższa stosunkowo u ramion. Modne zarówno baskiny z czarnego wolantu koronkowego, przymarszczone dokoła. Rękawy do tego bufowane z koronki czarnej, lub takie jak suknie, z długim koronkowym, spadającym do łokcia epoletem.

Co do kolorów, najmniejszy lila ametystowy, czyli heliotropowy, wpadający w popielaty odcień. Wiele też widać sukien zielonych w odcieniu mchowym, albo popielatym.

Zpomędzy jedwabnych materij, zwróciły uwagę naszą mienione w dwóch kolorach, na przykład popielaty z ceglasmym, heliotropowy z zielonym lub błękitnym. Do takiej mienionej materij dodają zwykle drugą w paski w dwóch odpowiednich kolorach. Mnóstwo także widać sukien fularowych w rzut z polnych kwiatów na tle popielatym lub szarem.

Inne znów ciemne fulary, śliwkowy, rozmarynowy i t. d., mają wielki deseń biały w półksiężycy, koła, albo fantastyczne zygzaki; mieszają go zazwyczaj z gładkim fulem.

Kapelusze, jak mówiliśmy w zeszłej korespondencji, dzielą się na dwa rodzaje. Okrągłe z wielkim rondem, wysuniętem na czoło, podniesionem w górę z tyłu głowy, zdobią na wierzchu całą piramidą kokard i mnóstwem kwiatów spadających na warkocz. Kapotki zato małe, w formie toczka, składają się prosto z denka, objętego wkoło girlandką z róż lub innych kwiatów i z drobnych skrzydełek umieszczonych w środku.

Do okrycia najmniejsze peleryny koronkowe albo jedwabne, przytwierdzone do karczka, naszytego dżetem lub złotą pasmanterją. Używane też bardzo żakietki z materij jedwabnej lub jasnego sukienka, długie, obcisłe, z rozciętemi wkoło kłapkami; jedwabne zdobią koronką, sukienne pasmanterją z dżetem, niekiedy pletnią złotą.

Te ogólne uwagi co do mody dzisiejszej, nasuwają się na pierwszy rzut oka; przytaczamy teraz kilka całkowitych ubrań, które nas szczególnie uderzyły na wystawie.

Suknia zielona w dzikim odcieniu, z fularu *surah* u dołu, wolant szeroki na ćwierć łokcia. Na to krótsza spódniczka z koronki szarej, w wypukły deseń, przytwierdzona z lewej strony wielką kokardą nad wolantem. Stanik gładki z baskiną rozciętą na siedm kłapek, przód stanika przybrany podwójnym żabotem z szarej koronki i kokardami, od ramion spadają na rękawy do łokcia szerokie epolety koronkowe, u ręki mankiet odpowiedni.

Kapelusik do tego małeńki z szarej klarownej słomki, otoczony wieńcem bladoróżowych róż z liśćmi. Od denka wybiega w górę kilka skrzydełek zielonych. Parasolik zielony, powleczony szarą koronką.

Drugie ubranie z grenadiny czarnej. Spódniczka płaska, udołu szlak z zielonych aksamitnych listków koniczyny i z kłosów wyszytych stalowemi pacioreczkami. Stanik przymarszczony na przedzie, od ramion do pasa przechodzi szlak odpowiedni. Kołnierz *Medicis* naszyty w listki i kłosa. Rękawy lekko bufowane, u ręki mankiet stosowny.

Kapotka czarna tiulowa, zasiana stalkami, nad rondkiem bukiet z kwiatków polnych mieszanych z listkami koniczyny.

Trzecie ubranie. Suknia fularowa błękitna (*bleu chasseur*), w białe zygzaki, udołu dwie falbanki jedna nad drugą powleczone białą koronką, namarszczoną razem z fulem. Stanik gładki; niższa połowa, pokryta koronką, tworzy z przodu jakby wycięty gorsecik. Od ramion przechodzi draperya, złożona z trzech plis fularowych, spięta u dołu stanika emaliowaną broszą z turkusami. Rękawy bufowane na ramionach kokardy, u ręki mankiet koronkowy. Dopełnia ubrania kapelusik wielki *Pompadour*, ze słomki klarownej, powyżej runda kokardy z białej wstążki, płaska główka przybrana bławatkami i rumiankiem.

Czwarte ubranie. Spódniczka z gładkiej jedwabnej materij, w kolorze jasno popielatym, zakończona takimże wolantem, szerokim na ćwierć łokcia. Do tego żakietka z czarnej jedwabnej bengaliny, ob-

cisła do stanu, przybrana pasmanterją z dżetem. Od stanu spada baskina koronkowa czarna, szeroka na łokieć. Rękawy popielate, lekko bufowane, pokryte do połowy długim epoletem koronkowym, u ręki odpowiednie mankiety. Kapelusik do tego czarny koronkowy, otoczony wieńcem nasturcyj w różnych odcieniach, od bladego żółtego do morderowego. Od denka wychodzą w górę lekkie skrzydełka dżetowe.

Piąte ubranie. Suknia z materij mienionej w dwóch kolorach, ciemno heliotropowym i błękitnym. Przód spódniczki płaski, zachodzi na boki jakby szeroki fartuch i łączy się poniżej pleców. W tyle wybiegają bryty z materij w paski błękitne na tle heliotropowym. Stanik z materij mienionej otwarty na przedzie, z pod spodu wygląda marszczony plastron w paski. Rękawy, także w paski, lekko nabufowane. Kapelusik małeńki w formie toczka. Wkoło główki idzie skręt z błękitnego muślinu jedwabnego, denko całe zasiane fiołkami. Moda dzisiejsza pozwala mieszać kolor błękitny z lila, co przy nikłych odcieniach, powszechnie przyjętych, wcale nie razi oka, a wygląda oryginalnie.

Szóste ubranie w dwóch odmiennych kolorach. Spódniczka jedwabna koloru ceglasmego, przód powleczony białą koronką. Na to druga suknie z materij w kolorze mchowym (*mousse*), nieodcięta wcale od stanika, sięgająca ledwie do boków. Stanik szeroko też otwarty na plastronie ceglasmym, powleczonym koronką. Boczne połyski spódnicy objęte aksamitem mchowym w ciemniejszym odcieniu, tak samo objęte przody stanika na otworze. Rękawy koronkowe białe na ceglasmym materij, złożone z dwóch buf, przypiętych paskiem aksamitnym na trzy cale; mankiet też aksamitny. Kapelusik do tego małeńki w kształcie toczka, denko zahaftowane złotem, od tyłu wpięty pęczek piór mchowych, nad czołem dyadem z róż w odcieniu bladego ceglasmym. Parasolik z materij mchowej, podbity materją ceglasmoróżową, wkoło przerabiana girlanda z róż, w odcieniu odpowiednim.

Siódmy kostium, w rodzaju poprzedniego, z czarnej jedwabnej bengaliny. Przód spódnicy i stanika z materij lila, pokrytej czarną koronką. Rękawy bufowane koronkowe na lila podwleczeniu. Kołnierz czarny *Medicis* naszyty złotą pasmanterją, także mankiety. Kapelusik koronkowy czarny, zahaftowany w złote blaszki. Od tyłu pęczek piór czarnych, nad czołem wieńiec z bzu lila.

Ósme ubranie młodej panienki. Suknia blade zielona (*vert du lac*), z lekkiej tkaniny wełnianej, *crêpe de laine*. Udołu szlak szeroki na ćwierć łokcia, naszyty w kratę ciemno-zieloną aksamitką. Stanik przymarszczony do karczka. Tu karczek cały naszyty aksamitką w kratkę, zarówno jak i rękawy od ramienia do łokcia. Kapelusik do tego słomkowy, z szerokim rondem, z przodu kokarda z bladej zielonej wstążki; w tyle na podpięciu wielki bukiet z nenufarów i trzciny wodnej.

Dziewiąte ubranie także młodej panienki. Suknia lekka wełniana (*voile*) w kolorze jasno piaskowym, u dołu pięć zakładek jedna nad drugą. Stanik z baskiną szczególnego kroju, od góry marszczony, poniżej zaszyte zakładki tworzą niby gorsecik, od dołu, gdzie się kończą zaszewki, wypuszczona baskina, długa przeszło na pół łokcia. Stanik ten spina się z boku na niewidzialne haftki. Kapelusik do tego okrągły słomkowy, średniej wielkości, ubrany białą wstążką; od główki spada bukiet z maczków polnych, bławatków i konwalij.

Dziesiąty kostium z gładkiego fularu w odcieniu niewarowym. Udołu wolant haftowany zielonym jedwabiem w liście paproci. Także peleryna, odpowiednio przybrana haftem, ujęta w zahaftowany karczek. Kapelusik okrągły ze słomki ryżowej, przybrany białym jedwabnym muślinem. Runda podpięta w tyle, od podpięcia spadają długie liście paproci.

S. D.

BIAŁA CZAPLA.

PRZEZ

Sarę Orne Jewett.

Przełożyła z angielskiego

T. Prażmowska.

(Dalszy ciąg.)

Młody człowiek oparł tymczasem fuzyą o uszak drzwi, rzucił obok niej dobrze wypchaną torbę myśliwską, poczem, powiedziawszy „dobry wieczór” na powitanie, powtórzył starej kobiecie życzenie, które poprzednio wyraził był dziewczynce, dodając:

— Pozostaw mnie pani na noc, gdzie chcesz, przed świtem wstać muszę. Ale tymczasem umieram z głodu. Wszak możesz mi pani dać mleka?

— A dla Boga! czemużby nie? — odpowiedziała gospodyni, której się nieczęsto zdarzała sposobność zadowolenia wrodzonego instynktu gościnności. — Gdybyś pan chciał pójść jeszcze z miłą lub dwie, znalazłbyś pan lepszy nocleg, ale czem i jak mogę, tak pana przyjmę. Zaraz pójde wydoić krowę, niech pan się tymczasem rozgości. Mogę panu posłać na słomie owsianej, lub na pierzu. Niech pan wybiera — uprzejmie dodała. — Gęsi chowam, proszę pana; tam, podle trzęsawiska, mają wyborną trawkę. Sylwio, rusz-że się żywo, nakryj stół dla pana.

Sylwia usłuchała czempredzej, rada, że jej coś dano do roboty. Zresztą i jej się także jeść chciało.

Miłej doznał niespodzianki młody człowiek, znalazłszy domek tak schludny i tak wygodny w ustronnym folwarczku Nowej-Anglii. Znał on się z obrzydliwością tych brudnych kuchenek, w których rodzaj ludzki żyje na stopie zupełnej poufałości z kurami. Tutaj zato miał przed oczyma typ dostatecznego staroświeckiego folwarczku, choć wszystko było na tak małą skalę, że podróżny mógł mniemać, iż się znajduje w pustelni.

Nie bez przyjemności słuchał on oryginalnego sposobu mówienia staruszki, a z większą jeszcze przyjemnością patrzył na Sylwią, na drobniutką, bladą jej twarzyczkę, na której błyszczały wielkie siwe oczy; jednym słowem oświadczył, że od miesiąca nie wieczerał już tak wyśmienicie. Po kolacyi byli już wszyscy na stopie najprzyjaźniejszej zażyłości i, razem siedząc przed domem, patrzyli, jak wschodzi księżyc.

O czem toczyła się rozmowa? O leśnych jagodach, które niedługo już dojrzeją, Sylwia znała się na tem! o krowie... mleczna jak rzadko, chociaż trudne do upilnowania licho, o czworgu dzieciach, które pochowała pani Tilley, tak że teraz już miała tylko matkę Sylwii i jednego syna w Kalifornii, może nawet nie żył już dzisiaj. Pocziwa kobiecina gawędziła z całą otwartością.

— Tak, mój biedny Dan przepadał za polowaniem — ze smutkiem opowiadała. — O! wtedy nigdy nie byłam bez kuropatw. A wiewiórki... ile on ich przynosił! Takie już ma upodobanie, że lubi jeździć po świecie i listów nie pisuje. O! nie ganię mu tego. Ja sama byłabym chciała zobaczyć trochę świata, tylko nie można było. Sylwia do niego podobna — po krótkiej przerwie dodała babka. —

Niema takiej pędzi ziemi, żeby jej nie znała na wy-
lot, wszędzie sobie da rady, a dzikie zwierzęta nie
a nie się jej nie boją. Gdyby pan widział, jak ona
oswaja wiewiórkę! Z ręki jej jeść przychodzą
i ptaszki tak samo. Przeszłej zimy poprzyjaźniła
się z sójkami, byłaby się dla nich obywatelką bez chle-
ba, aż ją pilnować musiałam. Widzi pan, Dan
w niewielkiej żył zgodzie z ojcem, jakoś się porozu-
mieć nie mogli, ale co prawda, to biedny mój stary
nigdy się nie pocieszył po wyjeździe syna, który
wbrew jego woli dom opuścił.

Nieznamy przyjmował bardzo umiarkowany
udział w rodzinnych zmartwieniach, których mu
pozwalało się domyślać; co innego zajmowało w tej
chwili całą myśl jego.

— Powiadasz pani, że Sylwia wie wszystko, co
dotyczy ptaków?—zawołał, zwracając się do dzie-
wczynki, która siedziała spokojnie, usypiając
coraz to lepiej w promieniu księżyca. — Ja właśnie
zajmuję się od dzieciństwa zbieraniem różnego ga-
tunku ptaków.

Pani Tilley uśmiechnęła się z wyrazem pobłaźli-
wej sympatii.

— Niektórych bardzo rzadkich szukam już od
lat pięciu. O! muszę je znaleźć kiedyś!

— To pan je w klatce trzyma? — z powątpiewa-
niem spytała gospodyni.

— Bynajmniej, wypycham je i porządkuję ga-
tunkami; mam ich całe tuziny — z dumą odpo-
wiedziała ornitolog, — wszystkie sam zabiłem, lub zła-
pałem w samotrzask. Przeszłej soboty, o kilka mil
(angielskich) ztąd spostrzegłem białą czaplę i teraz
gonię za nią. Nigdy jeszcze nie widziano ich w tej
okolicy. Mała, biała czapla — powtórzył, zwraca-
jąc się do Sylwii w nadziei, że rzadki ten ptak na-
leży może do jej znajomych.

Sylwia jednak przyglądała się skaczącej po ście-
żynie małej ropusze.

— Zobaczysz moją czaplę, odrazubysz ją po-
znała—z żywością mówił dalej lubownik ptaków; —
dziwacznie wyglądający ptak, na wysokich nogach,
z cienkim dziobem, z bardzo delikatnymi piórkami,
chodzi jak na szczydkach. Buduje sobie gniazdo
trochę podobne do sokolich, na wierzchołku wyso-
kich drzew, z patyczków i gałązek.

Serduszek Sylwii aż podskoczyło jej w piersiach;
znała ona rzadkiego ptaka białego, zesłała go raz
w błyszczącej trawie trzęsawiska, tam hen! z tam-
tej strony lasu. Było tam miejsce zupełnie drze-
wami nieporosłe, gdzie słońce świeciło żółciej
i goręcej niż gdziekolwiek, tak przynajmniej zda-
wało się Sylwii. Rosły tam wysokie, giętkie trzcin-
y i ostrzegała ją babka, że może się tam zapaść
w czarne błoto pod trzcinami będące, zapaść się tak,
że nigdy już nikt o niej nie usłyszy. Poza tem
trzęsawiskiem leżały słone błota, a za nimi już
morze samo, morze o którym nieraz myślała Syl-
wia, chociaż nie widziała go nigdy; burzliwą nocą
podnosił się głos jego ogromny i zagłuszał nawet
szum lasów wstrząsanych wichurą.

— Nie umiem powiedzieć, jak byłbym szczęśli-
wy, gdybym znalazł gniazdo tej czapli — mówił
piękny myśliwy.—Z dziesięć dolarów gotów jestem
dać temu, kto mi je pomógł odkryć i przysięgam
sobie że przez całe wakacje, jeżeli tego potrzeba,
szukać go będę. Może ją właśnie spotkałem w prze-
locie na nowe miejsce pobytu, może jaki ptak dra-
pieżny wypędził ją z okolicy, w której dawniej
przebywała...

Pani Tilley słuchała zadziwiona, ale Sylwia nie
przestawała przyglądać się małej ropusze, nie mo-
gąc — jakby to niezawodnie uczyniła w spokojniej-
szej chwili — zrozumieć, że biedne stworzonko

usiłowało wrócić do swojej nory pod progiem, do
czego przeszkadzało mu właśnie niezwykle zebra-
nie widzów.

Ileż to upragnionych, ile cudownych rzeczy mo-
żnaby kupić od razu za te dziesięć dolarów, o któ-
rych tak odniechcenia mówił młody człowiek!

Nazajutrz błędził po lesie od rana do wieczora
w towarzystwie nieodstępującej go Sylwii. Prze-
stała się już bać tego miłego chłopca, który okazy-
wał jej tyle życzliwości. Opowiadał jej mnóstwo
rzeczy o ptakach, o ich sposobie życia, i darował jej
nożyk, który miał tyle ceny w jej oczach, ile jej
ma dla mieszkańca jakiej bezludnej wyspy. Cały
dzień było jej bardzo dobrze z tym obcym, z którym
czuła się zupełnie swobodną; wtedy tylko robiło jej
się przykro, gdy wystrząsał strącał z gałązek ma-
leńkich, niewystrzegających się go śpiewaków. Lu-
biłaby go lepiej, gdyby nie miał fuzji przy sobie,
i nie mogła pojąć dlaczego zabija te śliczne pta-
szęta, które zdawały się zajmować go tak żywo. Ale
pomimo to nawet, uwielbienie Sylwii dla towarzy-
sza wzrastało z każdą chwilą; nigdy w życiu nie wi-
działa kogoś równie miłego; Ignęło jej do niego ser-
duszek, gdy ręka w rękę cichym krokiem szli oboje
przez uroczysty bór starodrzewu.

Czasem zatrzymywali się na chwilę, aby posłu-
chać świergotu jakiej ptaszyny, potem śpieszyli na-
przód, rozchylając gałęzie i krzewy, niekiedy szep-
tem zamieniając słów parę. Myśliwy szedł przo-
dem, Sylwia o kilka kroków za nim, jakby przez
niego urzeczona; jasne jej oczy aż pociemniały pod
wpływem doznawanego wrażenia. Przykro jej by-
ło, że biała czapla pozostaje dotąd niewidzialna;
nie prowadziła wszakże swego gościa w jej stronę,
ale szła za nim, nigdy nie odzywając się pierwsza.
Byłaby się zlekka dźwięku własnego głosu, gdyby
otworzyła usta nie poto jedynie, by odpowiedzieć
na zadane sobie pytanie; i tak już trudno było nie-
bodze wymówić „tak” lub „nie” w razie potrzeby.

Wreszcie zmierzch zapadł, razem przypędzili do
domu krowę, a Sylwia uśmiechnęła się wesoło, gdy
doszli do miejsca, gdzie wczoraj usłyszała to gwi-
zanie, którego się tak przelekła.

II.

O pół mili od folwarku, na skraju lasu, tam gdzie
zlekka już grunt się podnosi, stał świerk ogromny,
ostatni już swego pokolenia przedstawiciel. Czy zo-
stawiono go tam jako znak graniczny, czy dla in-
nego jakiego powodu, niktby już dziś powiedzieć
nie umiał; drwale, którzy zrabali jego towarzyszy,
pomarli już oddawna, a na miejscu wyciętego lasu
rosł dzisiaj nowy z drzew krzepkich, klonów, jo-
deł i dębów, ale stary świerk wciąż głową majesta-
tycznie górował nad nimi, z każdego punktu wi-
dzialny. Sylwii zdawało się zawsze że ktoś, coby
potrafił wdrapać się na sam wierzchołek, zobaczył-
by ztamtąd ocean i często, oparłszy rękę na starym
pniu chropawym, patrzyła zdołu na te ciemne ga-
łęzie, o które ciągle wiatr trącał, choć powietrze
ciepłe było niżej i spokojne. Teraz z nowem wzru-
szeniem myślała dziewczynka o drzewie: wdrapał-
szy się na nie o świcie, czy nie możnaby zobaczyć
ztamtąd całego świata, a zatem i miejsca, z kąd
wznosiła się lotem czapla biała? Potem już łatwo-
by było znaleźć tak wybornie schowane gniazdo.

Co za duch awanturniczy, co za ambicya gorąca!
Jak żywo wyobrażała sobie swój tryumf i uniesienie
radosne, z którym przyjdzie wyjawić tajemnicę do-

tań nieodgadnioną. Zawiele to było szczęścia na
siły dziecinnego serduszka!

Młody myśliwy i babka spali snem głębokim, ale
Sylwii zamiary długo w noc usnąć jej nie dały.
Zapomniała nawet o śnie zupełnie. Krótka noc le-
tnia wydawała jej się tak długą, jak najdłuższa zi-
mowa, czasem znowu brał ją strach, żeby ranek nie
nadszedł zbyt szybko. Naprędcie się odziawszy
wymknęła się z domu i poszła w las ścieżyną na
wygon wiodącą; za lasem było już czyste pole.
Przechodząc, potrafiła drzewinę, na której siedzia-
ło ptaszę jakieś; zbudzone, zaczęło na pół
przez sen, a krzyk ten odwagi dodawał Sylwii i do-
trzymywał jej towarzystwa.

Niestety! czy potężna fala czysto ludzkiego inte-
resu, uderzająca poraż pierwszy o jednostajne to
istnienie, porwie i uniesie z sobą te wszystkie dzie-
cięco-proste uciechy, które przynosiło Sylwii miło-
sne pobratanie się z przyrodą, z prastarym, nie-
mym borem?

Dojrzała wreszcie świerk wyniosły, uspiiony wzni-
kającym już świetle księżycowem, i całą odwagę ze-
brawszy, szalona dziewczynka postanowiła dostać
się na sam wierzchołek drzewa. Krew głośno tę-
niła jej w żyłach, całą jej drobną postać przebiega-
ły dreszcze; nożymi nogami i rękami, jak ptasie
szpony zaciśniętymi, czepiała się olbrzymiej drabi-
ny, która zdawała się nieba prawie dotykać.

Od ziemi musiała wspinać się po dębie tuż obok
świerku rosnącym; zabłądziła prawie wśród gęsto
liściem okrytych gałęzi i rosą obciążonego listowia;
ptak jakiś uleciał z gniazda, wiewiórka skacząca tu
i owdzie obraziła się na bezbronną przybłądę.

Bez wielkich jednak trudności pięła się Sylwia
po dębie; nie pierwszy raz to czyniąc, wiedziała że
jedna z najwyższych gałęzi dębu dotyka prawie naj-
niższych gałęzi świerku w tem właśnie miejscu,
gdzie najgęściej z pnia wyrastają; gdy jej się uda
szczęśliwie dokonać niebezpiecznego przeskoku z je-
dnego drzewa na drugie, wtedy wielkie przedsię-
wzięcie naprawdę już rozpoczętem będzie.

Dosięgnąwszy uginającej się podnią najwyższej ga-
łęzi dębu, przyczołgała się na sam jej koniec i ztam-
tąd na stary świerk skoczyła.

O! trudniej było piąć się po nim, niż myślała;
z całych sił musiała się trzymać; suche gałęzie za-
trzymywały ją i drapały jak szpony rozgniewanego
zwierza, żywica przyklepała się do chudych jej pa-
luszek, a ona pięła się wyżej, coraz wyżej. Pod
nogami jej, w gestwinie leśnej, wróble i gile zaczy-
nały się budzić i zorzę ranną pozdrawiały, ale tam,
wgórze, blisko wierzchołka świerku, światło zdawa-
ło się żywsze; wiedziała dziewczynka, że śpieszyć
się musi, jeżeli chce dopiąć celu.

(Dokończenie nastąpi.)



Zielone świątki bez słońca, ciepła, bez majowej
i majówkowej zieleni, ale zato z przejmującym do
kości chłodem, chlapiącym przez półtorej doby
deszczem i niebem, posepnem jak noc jesien-
na — oto wynalazek tegoroczny. A prawda, i bez
tradycyjnych Bielana, bo te, jakie były, nie liczą się

chyba. W lasku ich zupełne pustki, skłócone smutnie z rzędami sterczących huśtawek, młynów dyabelskich i karuzel, straganów i knajpek naprędce skleconych. Przedsiębiorcy i właściciele tych wszystkich zamierzonych przyjemności wyszli jak cały tłum Zabłockich na mydle, przy akompaniamencie zawiedzionej równie jak oni żeglugi parowej, która nie miała wozić kogo.

Dopiero po południu w drugie święto słońce wychyliło się z za chmurnej kurtyny, ale niska temperatura trwała uparcie, zniechęcając Warszawiaków do wycieczki zamiejskiej. Liczba gości bielańskich urosła do garści śmiałków, którzy nie mają w naturze trwogi wobec strumieni deszczu i... piwa bawarskiego. Ci przyszli, aby ratować grubo skompromitowany zwyczaj.

Mniejsza już o Bielany, ale wobec tego, co się dzieje na niebie i na ziemi, wątpliwym być zaczyna, czy w roku obecnym wszelki pobyt za rogatkami będzie możliwym. Zwątpiliśmy już nawet o lecie...

Na bruku warszawskim tymczasem świeżuteńko ukończono sądownie „cause célèbre,” a przynajmniej do nazwy takiej rozdmuchany przez prasę codzienną proces... o zabójstwo aktorki. O dziennikach naszych można powiedzieć teraz już napewno, że porzuciły wszelką drażliwość wobec wszelkiej nikczemności, brudu, zgnilizny i że, w poczuciu obowiązków *wychowawczo-społecznych*, dobrze *informują* ogół!

Ze wstrętem i ze smutkiem odwracamy głowę od tych *informacyj*, od tej sprawy i od widocznych aż nadto usiłowań stwarzania bohaterki pomiędzy kobiet, dla których najlepiej, gdy pamięć o nich przepada na wieki. Ale to podobno już taki czas przewrotu w najelementarniejszych pojęciach ludzkich, sprawiający, że *nauczyciele* społeczeństwa spełniają gorliwie obowiązki — *gorszycieli*.

Tydzień temu wspomnieliśmy o zamiarze zwołania kongresu wszechświatowego w kwestyi żydowskiej. *Mrzonka* odbudowania Palestyny dotąd nie posunęła się ani o krok, a oto idą znowu wieści w tej sprawie, tylko już w innym kierunku. Baron Hirsch, miliardowy współzawodnik Rotschildów, zamierza kupić potężny szmat ziemi w Ameryce południowej i darować go Żydom-emigrantom. Na teraz mówi się o Argentynie, ale są to rzeczy dopiero projektowane i naseryo brać ich nie można. Wysłano tam podobno jakichś specjalistów, aby zbadali warunki klimatu, przyrody i stosunki miejscowe, tymczasem jednak w głowach biedaków żydowskich, których są tłumy nieprzebrane, nurtuje myśl o Argentynie i urasta do potęgi zuchwałych ale i zawodnych rojeń. Może to sprowadzić dużo nieszczęścia na tych, coby właśnie przed niem uciekać byli radzi. Tacy mieliby daleko bliżej Argentynę swych marzeń, obiecaną ziemię Hirscha i wszystkie dobrodziejstwa życia europejskiego, gdyby zrozumieć mogli i chcieli, że czasami nawoływania tak zwanych anti-semitów bywają czemś więcej, niż głosem niesprawiedliwości i prześladowania. Trudno to jednak przemódz naturę, trudno zagłuszyć instynkt plemienności...

I cóż, mamy już kolej konną do Czerniakowa? A jakże! Dotąd wprowadzie tylko do Bogucina i — bezpłatnie, bo dopiero sposobem próby, ale lada dzień kolej ta stanie się prawdziwie publiczną i pójdzie na posługi dla wszystkich. Niech-no tylko komisya obejrzy ją i oceni.

Przed kilku dniami odbył się w Towarzystwie muzycznym popis klasy dykcyi, deklamacyi i gry scenicznej, którą prowadzą panowie Szymanowski i Kotarbiński, artyści dramatyczni. Na bardzo ładnej choć miniaturowej scenie uczniowie tej klasy odegrali ustępy z siedmiu komedyj, a raczej sztuk,

śród których oczywiście najpokaźniej dominował Fredro. Liryzm przeplatał się tam z dramatem, komizm z powagą, a program dosyć wszechstronny wykazywał uzdolnienia młodzieży artystycznej w kierunkach różnych.

Czy ci aspiranci do sceny znajdują się kiedyś na niej, jest to zagadką przyszłości, ale przyznać trzeba, że niektórzy z nich mogliby już rozpocząć pracę artystyczną, bo nauka usposobiła ich ku temu niezłe. Gromadka popisujących się uczniów wyglądała dosyć pokaźnie i korzystnie zaświadczyła o kierunku, pod jakim się kształci. Można by wprowadzić o tych i o tych powiedzieć, że zanadto dają przewagę deklamacyjności, że miarę sytuacji ciągną zawysoko (na przykład „O własnej sile”), że przemawiają głosami sztucznie obniżonemi do jakiegoś niepotrzebnego patosu, że wreszcie większą część grających idzie ślepo za wskazówkami szkoły, nie dając nic od siebie i z poczucia własnego — ale to są dopiero początki i uwag takich niepodobna czynić w charakterze zarzutów, lecz przestrogi. Bądźco bądź, na względnie bardzo krótki czas nauki, klasa popisująca wykazała rezultaty dosyć poważne. Czy z tej gromadki uczniów wyrosną kiedyś pierwszorzędnego talenta, tego dzisiaj wróżyć niepodobna. Z grających obiecująco wyróżnili się panna Bogusławska, pani Paprocka, pani Ekertowa, panowie Wilczyński, Zejdowski (trochę zmanierowany po prowincjonalnemu), Wieczorkowski (grał Dyndalskiego bardzo dobrze), Chądzyński i Tyliński.

Skoro dotknęliśmy teatru i sztuki, nie od rzeczy będzie zapisać tu stratę, jaką one w tygodniu zeszłym poniosły. Umarł Jan hr. Fredro, dla odróżnienia od genialnego ojca, Aleksandra, nazywany zazwyczaj synem, komedyopisarz, autor kilkunastu sztuk, przeważnie z zakresu krotoczwili, który jednakże w komedyi pięcioaktowej, zakrojonej szeroko, a stanowiącej wyborny i wierny obraz stosunków społecznych, dowiódł iż poważnym zadaniom umiał sprostać, gdy się do nich zabierał.

Fredro syn, młodość swą spędziwszy na zawodzie żołnierskim, późno rozpoczął pracę literacką. Był niezawodnie komedyopisarzem urodzonym, posiadał talent siły wielkiej, ale to późne rozpoczęcie sprawiło, iż nie miał czasu do wyrobienia przyrodzonych zdolności. Umarł w 63 roku życia, nie doszedłszy kresu, którego z łatwością mógłby osiągnąć, gdyby śmierć nie przyszła zawczasem. To, co zostawił (wystarczyło na cztery tomy), nie stanowi zapewne kapitału niespożytego, ale jako humor, jako objawy twórczości swobodnej, niekrępującej się programową przymusowością, jest oryginalne i niepospolite. Większą część sztuk nieboszczyka publiczność warszawska poznała ze sceny, przyjmując je zawsze ochoczo; resztę poznać może z druku, w którym zapewne spuścizna po zmarłym autorze doczeka się jeszcze uzupełnienia.

Maryusz.



— Pan Adolf Dygasiński wypuścił spod prasy drukarskiej swoje „Listy z Brazylii,” pisywane wczasy wędrowki do tej dalekiej krainy, do tej ziemi obietnic i nadziei, a potem nieszczęścia i bólu. Li-

sty te znane są już ogółowi szerszemu, bo były pierwotnie drukowane w „Kuryerze warszawskim,” którego redakcja kosztem własnym wysłała ich autora celem zbadania kwestyi emigracyjnej. Że jednak koszta byłyby wielkie, a fundusz udzielony okazał się zamały, przeto nie wystarczył panu Dygasińskiemu na dłuższe wędrowki po Brazylii, na szczegółowe badania, na opis rzeczy gruntowny i wyczerpujący. Znać to aż nadto na „Listach,” z których czytelnik pojęcia o emigracji i jej położeniu sobie nie wyrobi. Niby to coś, po łebkach, parę lub kilka szczegółów z widzenia naoczego, ale wszystko powierzchowne, artystycznie niewątpliwie ładne, faktycznie i nauczająco bez znaczenia. Autor, pisujący zawsze z talentem, jak może maskuje nim pustkę treściową swej roboty. Głośniej tu przemawia artysta niż badacz, i dlatego tych „Listów” w odniesieniu do sprawy emigracyjnej i jej poznania, naseryo brać nie można. Misya karyerowa pana D. może się powiodła... dla Kuryera, ale ani dla kwestyi emigracyjnej, ani dla czytelników.

— P. Stanisław Witkiewicz, malarz, obdarzony talentem pisarskim w wysokiej mierze, autor pięknego opisu gór tatrzańskich w książce, zatytułowanej „Na Przełęczy,” od dosyć już dawna usiłuje zająć poważne stanowisko krytyka w dziedzinie sztuki plastycznej. Teraz mamy przed sobą inną jego książkę, noszącą tytuł „Sztuka i krytyka u nas,” który sam przez się wskazuje, że praca to jest na potęgę polemiczna. Autor nielitościwie się obchodzi ze swymi krytycznymi poprzednikami i kolegami, którzy, jak się domyślać można z tego co mówi, celowali nieuczciwością, błagą i nieuczciwem. Krytyka właściwie bardzo rozumna, bardzo prawdomówna i sprawiedliwa, zaczyna się dopiero od autora książki — reszta furda!

Pan Witkiewicz zrozumiał dobrze, że kto chce mieć drogę pochodu szeroką, wygodną a łatwą, ten niechaj stąpa śmiało, choćby po głowach ludzkich, niechaj na każde cudze twierdzenie ma na ustach gotową odpowiedź „głupstwo!” niechaj trzymać skwapliwie z najświeższymi teoryjkami, niechaj wszystko nazywa zacofaniem i ciemnotą, co ze zdaniem się jego różni, niechaj wreszcie depce na każdym kroku to, co uznano za grunt przygotowawczy i zasadniczy dla wszelkiej logiki naukowej. Tak postępując, autor książki odważnie spycha talenta w przepaść nicości, każdą siłę ściąga pod poziom własny, każdemu uznanemu dziełu wytyka niedarowane błędy i jest najzupełniej pewny, że ta cała robota stanowi prawdziwą krytykę.

Tak wygląda książka pana Witkiewicza, napisana zamasyście, śmiało, z werwą młodości i z talentem, choć bez gruntu i bez naukowego podkładu. Sprawy sztuki i krytyki nie prowadzi ani o włos naprzód, mąci o nich pojęcia, do umysłu czytelnika wprowadza ferment niepokojący wskutek pomiatańia wszystkim i wszystkimi, i ci, co ją czytać będą, niechaj to czynią ostrożnie, aby nie uledez zaletom dzielnego pióra, któreby ich łatwo od istotnej prawdy i poważnie pojmowanej krytyki odciągnąć mogły.

— „Wina owocowe i miody,” oto tytuł dziełka traktującego o fabrykacji win owocowych i miódów, a napisanego przez Konrada Niklewicza, byłego inspektora winnic w Austro-Węgrzech. Książka bardzo pożądana i przychodząca jakoby dopełnienie pracy E. Jankowskiego „Ogrodnictwo praktyczne,” o której mówiliśmy na tem miejscu przed paru tygodniami.

Autor w Przedmowie ubolewa nad tem, że w kraju, chociaż owoców mamy pod dostatkiem, wyrób win owocowych prawie nie istnieje. Niema też i książek, traktujących o tym przedmiocie. Usiduje

przeto brak ten zastąpić, a praca jego ma na celu zachęcić do fabrykacji win i miodów i zarazem udzielenie wskazówek, jak ją prowadzić należy. We „Wstępie” autor mówi o winie w ogólności i daje poniekąd historyczne wskazówki jego rozwoju, a następnie i najogólniejsze wiadomości o jego dobroci i gatunkach. Mówi też o podstawianiu win owocowych, zamiast robionych z jagody winnej, co samo przez się świadczy o dobroci pierwszych, które w zupełności prawdziwe wino zastąpićby mogły. U nas pamiętać o tym należy, bo wina z owoców możemy mieć dużo i z niem obchodzić się bez sprowadzania win zagranicznych, które bywają rzadko kiedy naturalne.

Po wskazówkach co do zalet i chemicznego składu wina, przechodzi autor do fabrykacji jego z owoców, objaśnia co to jest moszcz, jak się go otrzymuje i jak się przerabia na wino, mówi następnie o jabłecznikach, gruszcakach, maliniakach, winie z porzeczek i agrestu, z jagód leśnych i ogrodowych, z owoców pestkowych, z wisien, terek, a wreszcie przechodzi do wyrobu miodów, który w książce zajmuje miejsce bardzo poważne. Fabrykacja miodów różnej barwy i siły, fermentacja i butelkowanie win stanowią zakończenie dzieła, które polecamy uważnie czytelnikom dlatego, że jeżeli było bardzo potrzebne, czemu nikt nie zaprzeczy, to posiada tę zaletę, że potrzebie nieźle odpowiada. W połączeniu z „Ogrodnictwem praktycznym” E. Jankowskiego, o którym wspomnieliśmy na początku, książka ta p. Niklewicza stanowić może wyborną całość, informującą o przedmiocie dostatecznie i jasno.

Rz.

Uwaga. W rubryce niniejszej na przyszłość będziemy pomieszczać wzmianki o tych tylko książkach, których wydawcy raczą je nadsyłać pod adresem redakcji „Tygodnika mód i powieści.”

Z chwili bieżącej.

* **Hamulec Herdy'ego** prawdopodobnie zaprowadzony zostanie na kolejach tutejszych; druga bowiem próba, dokonana z nim na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, wypadła jeszcze lepiej niż pierwsza. Pociąg biegnący z szybkością 70 wiorst na godzinę wstrzymany został wprzeciągu 26 sekund na przestrzeni 120 sążni. Wprowadzenie tej innowacji byłoby arcypożądanem w interesie bezpieczeństwa pasażerów.

* **Na pomnik Moniuszki**, który stanąć ma w foyer teatru Wielkiego, termin konkursu oznaczony został na dzień 1 października.

* **Dwaj znani warszawscy artyści**, Władysław Górski i Paderewski, dawali wspólnie w Paryżu koncert, który miał wielkie powodzenie. Paderewski, jak wiadomo, jest ulubieńcem paryskiej publiczności, a Górski, bawiący już od dłuższego czasu w stolicy Francji, umiał sobie również zaskarbić uznanie u poważnych muzyków tamtejszych.

* **Skąpy dwa razy traci.** Przysłowiowa oszczędność zarządu kolei Nadwiślańskiej stwierdziła na sobie jeszcze raz prawdę powyższego przysłowia! Niedawno ukończona restauracja sal pasażerskich na stacyi tej kolei na Pradze już rozpoczyna się na-

nowo, gdyż z poprzedniej już prawie śladu nie zostało i sale przedstawiały istny obraz nędzy i rozpaczy. Ostatecznie pokaże się naturalnie, że dwie restauracje, prowadzone systemem oszczędnościowym, dużo więcej będą kosztowały, niż jedna wykonana porządnie.

* **Suum cuique.** Przyznać trzeba, że tenże sam zarząd teje samej kolei bardzo dobry przyjął system rozdziału tegorocznej dla urzędników swoich gratyfikacji. Zaleta tego systemu polega na tem, że najmniejsze pensje pobierający urzędnicy stunkowo największe otrzymają gratyfikacje, i tak: urzędnicy pobierający mniej niż 300 rs. rocznie, otrzymają całomiesięczną pensję; pobierający od 300—1000 rs. dostaną 75% pensji miesięcznej, a pobierający wyżej 1,000 rs. tylko 50%. Ogół tak rozdzielonej gratyfikacji wynosi 21,258, z których 2,000 przeznaczone są dla samych naczelników.

* **Fabryka materiałów na odzież z wełnianych i bawełnianych odpadków** ma powstać podobno w Warszawie. Fabryki takie istnieją już oddawna za granicą, mianowicie w Anglii, i nieraz płacimy za podobne wyroby, sprzedawane pod nazwą „materiałów angielskich,” wcale pokaźne ceny, tuczając naszymi pieniędzmi zagranicznych przemysłowców. Byłaby to więc bardzo dobra rzecz, gdybyśmy mieli u siebie taką fabryczkę, któraby ludzom niebogatym dostarczała sposobu ubierania się w materiały niezbyt wprawdzie trwałe, ale tanie i wyglądające nieraz bardzo porządnie, a nawet dystyngowanie. Rzecz byłaby dobra, powtarzamy, gdyby... bo jest i „gdyby,”—gdyby fabryka nie powstała za kapitały zagraniczne. Opuścimy tedy znowu jedną więcej sposobność podjęcia przedsiębiorstwa pożytecznego i korzystnego, a potem postaremu będziemy biadali, że pieniądze nasze za granicę wychodzą.

* **Zebranie koleżeńskie** byłych uczniów gimnazjum realnego warszawskiego, otwartego w r. 1891, ma się odbyć w tych czasach za zezwoleniem władzy. Życzący sobie wziąć w niem udział, zechcą się zgłosić do p. Józefa Kwiatkowskiego, zamieszkałego w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej pod Nr 114, który udzieli informacji co do szczegółów zebrania i jego terminu. Zebrania takie, z natury swej sympatyczne, mają jeszcze i tę zaletę, że najczęściej kończą się udzieleniem koleżeńskie pomocy podupadłym towarzyszom ławy szkolnej.

* **Wzór prenumeratorów.** Książę Portland, jeden z wybitnych członków arystokracji angielskiej, wydaje na prenumeratę pism rocznie 1,800 funtów szterlingów, t. j. 10—12,000 rs. Prenumeruje on mianowicie wszystkie pisma peryodyczne angielskie w czterech egzemplarzach, po jednym dla każdej ze swoich rezydencji, których posiada cztery. Ojciec już jego czynił tak samo.

U nas niema, a przynajmniej bardzo mało jest takich majątków, jak księcia Portlanda, ale też i czasopism znacznie mniej; a przy dobrej woli, człowiek średniej zamożności nie poniósłby ofiary nad siły, gdyby je wszystkie zaprenumerował. Niestety! częściej daleko zdarza się, że nie prenumeruje żadnego!...

* **Częstochowa** zabiera się uprzedzić Warszawę pod względem oświetlenia ulic; magistrat bowiem częstochowski zawarł umowę z p. Iwanowskim, elektrotechnikiem z Warszawy, o zaprowadzenie oświetlenia elektrycznego. Jest stare przysłowie: „Za panią matką pacierz;” może, jak wiele innych, tak i ta rzecz pójdzie teraz naodwrot: może Warszawa zmówi pacierz za Częstochową i za jej przykładem sprawi sobie światło elektryczne.

* **Chybione rzeźbiarki.** Wiadomo, że Sara Bernhardt w wolnych chwilach zabawia się rzeźbiarstwem; dotąd atoli świat widział tylko nieudane owoce jej pióra; płody jej dłuta muszą być o wiele jeszcze lichsze, skoro się zniemi jeszcze nie pochwaliła, ona, która dla ekscentrycznego efektu nie zawahała się, w roli lady Machbeth, naprawdę bosonóż maszerować po scenie.

Gorzej wie dzie się rzeźbiarstwo głośnie i bogatej księżnie d'Uzes, która miliony poświęciła dla sprawy Boulanger'a. Jej olbrzymich rozmiarów „Joanę d'Arc,” wykuta z przepysznego kararyjskiego marmuru, spotkała ta mała nieprzyjemność, że jej nie przyjęto do tegorocznego „Salonu,” jako grzeszącą przeciw najelementarniejszym sztuki rzeźbiarskiej zasadom.

Takaż sama impertynencya spotkała także „Joanę d'Arc” innej niepowołanej rzeźbiarki, pani Claris Hugues, tej samej, co to na ulicy postrzeliła z rewolweru swego mniemanego potwarce.

Szkoda że te panie nie znały widać naszego przysłowia, które nie radzi kilku srok trzymać za ogony, ani też tego drugiego, które mówi: „jednemu radym być: albo jeść, albo pić.”

Widocznie ich nie znały; w przeciwnym bowiem razie sławę swoją byłyby na jednym oparły zawoździe, nie sięgając gdzieindziej po laury. Sara byłaby poprzestała na aktorstwie, księżna d'Uzes na księztwie i na Boulangerze, a panu Hugues na rozbojach ulicznych...

* **Niewyczerpani w pomysłach spekulacyjnych** fabrykańcy paryscy stworzyli... nowe głupstwo na uciechy gawiedzi. Jest to coś w rodzaju dawnego *cri cri*, mające na celu rozdzieranie uszów przechodniów. Zabawka ta stanowi śrubę obracającą się w niedopasowanej panewce, ze zgrzytem, którego głos wdziera się do nerwów na ich utrapienie. Sliczny pomysł—ani słowa!

* **W Permie** zbudowano kościół katolicki, siłami zbiorowemi parafian i z funduszu składkowego. Kościół jest zewnątrz nietynkowany, w stylu gotyckim, wewnątrz przypomina renesans. Okna mają szyby kolorowe. Tymczasowo wież nie zbudowano, bo na ten cel zabrakło funduszu. Przy świątyni znajduje się dom parafialny, zbudowany dawniej jeszcze kosztem ś. p. biskupa Borowskiego.

* **Na Pradze** ma powstać tania kuchnia, do ufundowania której pragnie się przyczynić zarząd kolei Terespolskiej. Ze względu na wielką liczbę robotników, pracujących przy dwóch kolejach i kilku fabrykach, kuchnia byłaby tam niezmiernie pożądana.

* **Bardzo** być może, że Warszawa posiędzie niezadługo oddzielny targ na produkta ogrodnicze.

Starają się o to ogrodnicy podmiejscy, a starania ich mają przyjazne widoki urzeczywistnienia. Targ prawdopodobnie urządzony zostanie za Żelazną Bramą, na części placu, specjalnie na ten cel wyznaczonej. Warzywa, jako zabierające zbyt dużo miejsca, mają być z targu wyłączone, chyba że będą jeszcze nowaliami. Owoce, kwiaty i rośliny doniczkowe mają na owym targu stanowić główne przedmioty zbytu.

G. Cz.

PRZYJACIEL DZIECI, PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie		Na Prowincyi	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —.
Półrocznie	rs. 2.	Półrocznie	rs. 2 k. 50.
Kwartalnie	rs. 1.	Kwartalnie	rs. 1 k. 25.

Wychodzi w każdą sobotę z dodatkiem również ilustrowanym dla dzieci rozpoczynających dopiero naukę czytania. Jako premium dwa dodatki z łatwymi utworami muzycznymi, a w kwartale III obszerniejsza powieść historyczna w oddzielnej książce prenumeratom rozesłaną zostanie.

W redakcyi „Przyjaciela dzieci” są do nabycia cztery powieści historyczne napisane przez E. Zoryana: **Popiel i Piast, Bohaterowie i niewolnicy, Dwaj bracia, Chrzest Mieczysława.** Cena za 4 powieści w Warszawie rs. 1, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 15.

Adres: Redakcyi ulica Chmielna № 26.

Zbiorowe wydawnictwo powieści obyczajowych i humorystycznych

Alberta Wilczyńskiego,
autora

„**Kłopotów Starego Komendanta,**”

tomów 20, które z przesyłką pocztową kosztowały rs. 14, dla prenumeratorów „Tygodnika mód i powieści” **zniżamy na rs. 9.**

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

MAGAZYN Ubiorów Dziecinnych KOTZEBUE 2 róg Wierzbowej. WYBÓR materiałów S. PRZEZDZIECKI CENY umiarkowane MUNDURY, Szyniele i Bluzy DLA UCZNI.

Fabryka Gorsetów **Aniela** przeniesioną zostało ze Szpitalnej z pod № 4 na tąż ulicę pod № 1 (vis à vis). Magazyn został znacznie powiększony i zaopatrzony w bogaty wybór Gorsetów najświeższych fasonów począwszy od rs. 2. Wszelkie obstalunki i reperacje wykonywa się szybko i dokładnie. 52-3-3

Specjalny Magazyn Okryć Damskich **A. Łojewskiej, ULICA BRACKA Nr 10.** Poleca wielki wybór okryć wiosennych i letnich podług modeli osobiście wprowadzonych z pierwszorzędnych magazynów zagranicznych. CENY BARDZO PRZYSTĘPNE.

LABORATORYUM ŚRODKÓW ODŻYWCZYCH W. HEBDY, Aleja Jerozolimska Nr 80 w Warszawie. Poleca odżywcze środki dla rekonwalescentów, dzieci i osób wycieńczonych mianowicie: Sok mięsny świeży niezawodny środek wzmacniający i lekkostrawny, wyciąg truskowy przepisu d-ra M. Rajchmana proszek mięsny Rachaut des Arabes nadzwyczaj smaczny i posiłny napój Kaszę leczniczą, Kakao słodowe, Kaszkę posiłną i Lipaninę czyli tran bez wstrętnego smaku tranu. 54-6-6

FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA I ZAKŁAD DEZYNFEKCYJNY (Kamera) Ch. GEBER, (Grochów, Telefon Nr 164.) 39 8-16

Farbuje i czyści wszelką garderobę męską i damską. Farbuje na sposób francuzki całkowite sztuki nowych materyi przedzę jedwabną dla panów fabrykantów i kupców, oraz drukuje desenie nowym systemem na wszelkich materyałach, na sukniach pranych i farbowanych. Magazyny w Warszawie: Niecała № 9 (telefonu № 328), Marszałkowska № 116, Nowy-Swiat № 49, Leszno № 4, Dzika № 9 i Praga Brukowa № 32.

Warszawska Fabryka Gorsetów J. LENARTOWSKIEJ, Krakowskie-Przedmieście Nr 23 (róg Trębackiej.) 59-4-6 Poleca gorsety: Zgrabne, Eleganckie i Tanie. Fasony paryzkie.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich **F. JĘDRZEJEWSKIEJ** W WARSZAWIE, 23 DŁUGA 23. 42-5-6 Wykonywa wszelkie obstalunki z możliwym pośpiechem podług ostatnich żurnali, tak z własnych jak i powierzonych materyałów, po cenach bardzo umiarkowanych. WYKOŃCZENIE STARANNE.

MAGAZYN OBUWIA Męzkiego Damskiego i Dziecinnego **A. Sobolewskiego,** w Warszawie, ulica Bielańska Nr 5. 25-2-3 Poleca obuwie gotowe z najlepszych materyałów, oraz przyjmuje wszelkie obstalunki. Fasony modne, wykończenie staranne i eleganckie. Ceny przystępne.

WAZNE dla Magazynów, Pracowni i Pp. Krawców damskich ZAKŁAD **FORM (Zefirów)** Zielna № 17 (róg Siennej) 85-1-1 zaopatrzony już został na sezon bieżący w Modele paryzkie, Płaszczce, Żakiety i rozmaite nowości wiosenne i takowe można nabywać po cenie przystępnej. Uczenie na stałe przyjmują się. Zielna № 17 (róg Siennej)

Zatwierdzona przez Władzę dyplomowana Szkoła kroju sukien i okryć damskich i dziecinnych metodą Vorth'a. Wykład praktyczny podług ostatnich francuzkich żurnali. **Zórawia Nr 9 (parter) N. TISSERANT.** 58-2-3 Przy szkole urządzona pracownia. Po ukończeniu patenta wydają się.

W Wilnie MAGAZYN MÓD MARYI Ł. dawniej **J. Bogdańskiej,** ulica Ostrobramska. Poleca damskie kapelusze na sezon następujący CENY TANIE, oraz damską i dziecinną bieliznę po cenach fabrycznych. 62-1-5

L. C. BRONIKOWSKA Erywańska Nr 18. 26-6-6 Poleca: bieliznę damską i męską, kołdry, szlafroki, matinki, sukienki dziecinnie, fartuszki, halki, tak gotowe jak również na zamówienie. pończochy, skarpetki, towary białe i podszewkowe, krawaty, spinki oraz norymberszczyzna tania i w wielkim wyborze.

Splata Tygodniowa. 40-6-6 **BIDETY, UMYWALNIE, Klozety** poleca **Specjalny Skład Adama Kempnińskiego, Senatorska 22** (róg Bielańskiej).

Pierwszorządne Kaucyonowane Biuro **NAUCZYCIELSKIE F. Sikorskiej,** w Warszawie, Niecała Nr 12. 85-6-6 Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu nauczycieli, nauczycielek i bon.

Kapelusze Damskie podług modeli paryzkich poleca **WANDA SIWIŃSKA,** Magazyn Mod i Fabryka Kwiatów, **Krak.-Przed. 61,** wprost Resursy Obywatel. 36 7-7

FABRYKA BIELIZNY **WOJNA** **WOJNA** **POLECA GOTOWĄ BIELIZNĘ** MĘSKĄ DAMSKĄ DZIECINNĄ I POŚCIELNĄ W WIELKIM WYBORZE **OBSTALUNKI** WYKONYWANE SĄ PRĘDKO I TANIO **WPROST HOTE. POL. DŁUGA 42.** **WPROST HOTE. POLS. DŁUGA 42.** **Filija Nowy-Swiat 69.**

LODOWNIA 51-3-6 **E. JASZEWSKIEGO** Marszałkowska 52, róg Pięknej. dostarcza lód do lodowni pokojowych, na warunkach lat poprzednich, t.j. począwszy od pół puda dziennie. Dostawa punktualna. Ceny przystępne. Rachunki regulują się zdołu 1-go każdego miesiąca. Lód zdatny do użytku wewnętrznego.